

Walka ze skalnym olbrzymem Mont Everest nie zdobyty

Wyprawa Tilmana, która obecnie zawróciła z pod szczytu Mont Everest, nie osiągnęła go, jest piątą, którą zwycięża skalny olbrzym. Poprzednie miały miejsce w latach 1922, 1924, 1933 i 1936. Nikt ze znakomitych alpinistów, bo tacy tylko odważyli się na tę wyprawę, nie osiągnął celu. A raczej, dwaj, którzy doszli do celu, zapłacili za to śmiercią.

SZALEŃCY

Dlaczego wyprawa na Mont Everest jest tak trudna?

Mają tu swoją rolę również przyczyny polityczne. Mont Everest jest granicą naturalną, najpewniejszą, jaka być może. Nepal i Tybet niechętnie widzą wdzierających się nań cudzoziemców.

Trzeba było wielu wysiłków, aby ekspedycje mogły rozbijać swe namioty u stóp czarnych stoków góry od strony Tybetu. Mieszkańcy tego dzikiego kraju, gdzie nie ma dróg, ni telefonów, patrzyli na alpinistów, jak na szaleńców. Kapłani udzielali im wreszcie swej jakiejś takiej pomocy, widząc w nich nie groźnych fanatyków, idących zapewne na niedosiężny szczyt, jak pątnicy dla spełnienia religijnych słubów.

WEDRÓWKI PRZEZ ŚNIEGI

To pewne, że wejście na Mont Everest nie da się porównać z trudnościami przy osiągnięciu jakiegokolwiek innego szczytu.

Zaczyna się najprzód wędrowkę blisko miesiąc trwającą, przez płaskie wyżyny Tybetu, omiatane lodowatym wiatrem wiosennym. Po tym grzącz trzeba w miękkich śniegach wzgorz, aby wreszcie znaleźć się u stóp olbrzyma.

Tam, ekspedycja rozkłada swoje namioty na wysokości, przekraczającej już wysokość Mont Blanc. Pozostaje jeszcze do przebycia 4 tys. metrów.

KĄŻDY KROK WYCZERPUJE

Powietrze staje się coraz rzadsze, ciśnienie 3 razy mniejsze niż na poziomie morza.

— W tym powietrzu, — pisze dr. Green, uczestnik wyprawy z r. 1933, gdzie każdy ruch, choćby przewrócenie się na bok w skórzanym worku do spania, wywołuje uczucie wielkiego zmęczenia, gdzie każdy krok wymaga niesłychanego wprost wysiłku, trzeba wykonać pracę, którą była trudną w normalnych warunkach.

ŚMIERĆ W ROZRZĘDZONYM POWIETRZU

Podnoszenie się w górę, musi więc odbywać się w tempie bardzo powolnym. Człowiek, któryby przeniesiony został natychmiast na szczyt, umarłby na miejscu. Ale organizm ludzki łatwo dostosowuje się do zmienionych warunków. Dzięki stopniowemu podnoszeniu się w górę i stopniowemu dostosowywaniu się do zmiennej atmosfery, możnaby nawet

bezpiecznie osiągnąć wysokość, przekraczającą o 350 m. wysokość góry.

Po przezwyciężeniu tych trudności, pozostają inne: olbrzymie gołe ściany, pokryte lodem, korytarze wśród skał z opadającymi co krok głazami, lawiny, ciągnące ze sobą zwały olbrzymie kamienie, odłamków skalnych.

NAJGORSZY WRÓG

I pozostaje wróg najgorszy, na którego nie ma sposobów: klimat.

W początku kwietnia zaczyna wiać wiatr północno-zachodni, nieco cieplejszy, który oczyszcza płaszczyznę góry. To jest pora do zaatakowania szczytu. W maju bowiem i w czerwcu w przeróżnych datach wieje muson, najgroźniejszy obrońca szczytu. Miota śniegiem, obrywa lodowce, wypełniając powietrze niesamowitym, diabelskim hukiem, idącym z głębin lodów. Zapóźnie myśleć wtedy o wyprawie.

W takim to właśnie okresie wdzierali się na szczyt uczestnicy wyprawy r. 1924. Zginęli, powaleni rozszalałą lawiną. Zginęli, według obliczeń następnych ekspedycji, znajdujących po nich ślady, u samego już szczytu.

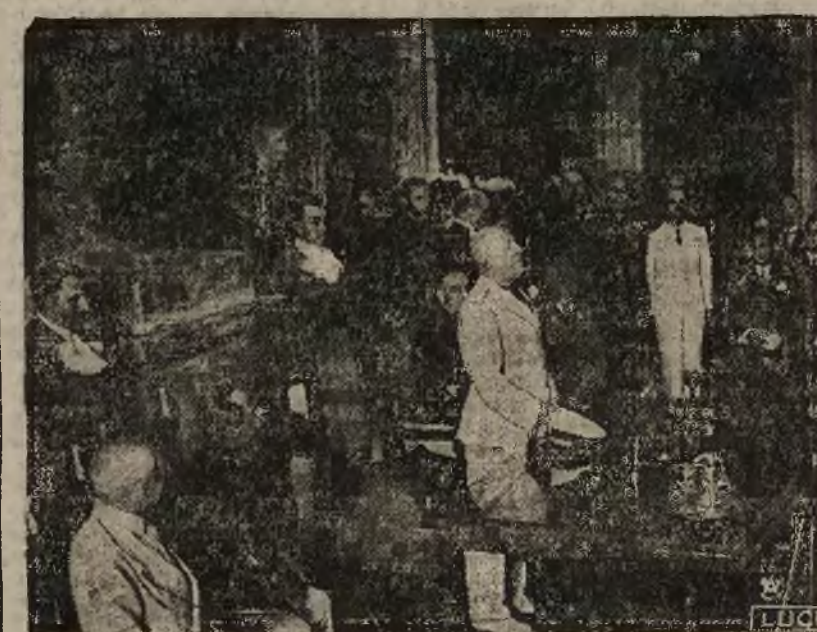
„NIE USTĄPIMY“

W tym roku muson zaczął wiać wcześniej niż zwykle. To zmusiło

do odwrotu tegoroczną ekspedycję Filmana.

Mają jednak zamiar powrócić w jesieni, w krótkim okresie, jaki dzieli porę musonów od zimy. I znowu próbować. Wierze, że wreszcie stanę zwycięsko na szczycie.

Kongres wczasów w Rzymie



Mussolini otwiera międzynarodowy Kongres wczasów w Rzymie

— Jeszcze nie został ukończony sensacyjny proces głośnej trucicielki belgijskiej Marii Becker, gdy w Jugosławii rozpoczął się jeszcze większy proces trucicielski. Już około 60 osób znajduje się pod kluczem, oskarżonych o dokonanie zbrodni przy

Zatruta wieś Wielka afera trucicielska w Jugosławii

— Jeszcze nie został ukończony proces głośnej trucicielki belgijskiej Marii Becker, gdy w Jugosławii rozpoczął się jeszcze większy proces trucicielski. Już około 60 osób znajduje się pod kluczem, oskarżonych o dokonanie zbrodni przy

TAJEMNICZE ZGONY

Krepoln jest małą, spokojną wioską w górach południowej Serbii. W ciągu ostatnich lat śmierć porwała szereg mieszkańców tej wsi, jednych po drugich, wśród niewyjaśnionych dotąd okoliczności. Większość tych ludzi umierała wśród wymiotów i zawrotów głowy, które trwały najwyżej pół godziny. Wezwani w ostatniej chwili lekarze nie mogli stwierdzić przyczyny śmierci i wpisywali jako powód atak apopleksji.

PANIKA

Dopiero po jakimś czasie zaczęto snuć różne przypuszczenia na temat śmierci tych osób, z których większość należała do rodzin zamożnych. W końcu padło tajemnicze słowo „trucizna“. Wtedy dopiero prawdziwa panika ogarnęła serbską wieś. Mieszkańcy przestali sobie wzajemnie ufać. Pito wodę ze studni, zacier pniętą własnoręcznie, sporządzano artykuły spożywcze w domu z obawy przed otruciem. Małżonkowie lękali się swych żon, rodzice dzieci.

WIEDZMA

W końcu podejrzenia zwróciły się w jednym ustalonym kierunku: ku ku „babie Stance“, starej wiedźmie wiejskiej, żonie chłopca Sima Senanica. Wiedziało, że małżeństwo to posiadało przed 5 laty w okolicy wsi piękny majątek i po sprzedaniu go osiadło na starość w małym domku we wsi. Babę Stankę podejrzewano oddawać, lecz lękano się jej, gdyż uchodziła za czarownicę.

TRUCIZNA NA BOGACZY

Znalazł się w końcu ktoś, kto zawiadomił żandarmerię, która przeprowadziła śledztwo i rewizję w domu „baby Stanki“. Mieszkanie „baby Stanki“ zawierało prawdziwe laboratorium chemiczne, służące do produkowania różnego rodzaju trucizny. Po aresztowaniu wiedźmy przyznała się ona, że od szeregu lat zajmowała się sporządzaniem i sprzedażą trucizn. Truciznę sprzedawała za cenę 500 dynarów wszystkim, — którzy chcieli się w ten sposób pozbyć bogatych krewnych, aby odziedziczyć po nich majątek. — Dzięki zeznaniom „baby Stanki“ aresztowano dotąd 60 mieszkańców wsi, włączonych w tę zbrodniczą aferę. Śledztwo w tej sprawie nie zostało jeszcze ukończono.

KOBIETY TRUJA

Ciekawą jest rzeczą, że we wszystkich procesach trucicielskich główną rolę odgrywały zawsze kobiety. Wystarczy wspomnieć takie nazwiska, jak Brunvillers, jak kobiety Neuberg z Wiednia, która w 19 wieku otruli 16 osób. Pamiętna jest również Elzbieta Rathbone z Londynu, stracona za to, że otruli kilkanaście osób. Głośny był również olbrzymi proces w Tiszaszu (Węgry), — gdzie kilkanaście kobiet przynęcało się do otrucia swoich mężów przy pomocy odwaru, sfabrykowanego przez wiejską znachorkę. Sześć z tych kobiet stracono.

Obecny proces w Jugosławii będzie jedną z największych afier trucicielskich w Europie.

Jerzy Kocycki

O nowe drogi dla turystyki

Polska jest bardzo ładnym krajem, krajobraz nasz zmienia się od górskiego w Tatrach Wysokich poprzez Karpaty, pokryte lasem, jary Podola, równinę mazowiecką, błota poleskie, kaszubską Szawarię, pojezierze wileńskie czy augustowskie aż po brzeg morski.

Nie ma chyba państwa w Europie, które na swoim terenie miałyby tyle uroczych zakątków, godnych widzenia.

I nie ma chyba kraju, gdzieby się tak niechętnie odnoszono do turystyki, jak właśnie w Polsce.

Wszędzie za granicą, w czasie letnich miesięcy trwa zwiedzanie kraju. Na drogach pełno turystów, pieszo, czy na rowerach, nie mówiąc już o niezliczonych wprost wycieczkach zbiorowych pociągami czy autokarami.

A jak jest u nas?

Trochę chodzą na wycieczki harcerze, czasami rzeką przejeżdżają kajak, czasami szkoła robi jakąś wycieczkę „do Gdyni i na Hel“ — i to już wszystko.

Przecież nie ma nawet w Polsce jakiejś instytucji n. p. Związku Turystyki Polskiej na wzór

innych Związków Sportowych, któryby skupiała ogół zagadnień dotyczących turystyki.

Każdy robi co chce i każdy robi na swoją rękę. Trochę Polski Związek Kajakowy, trochę Liga Popierania Turystyki, dalej PTT, PZTW, i P.Z. NARCIARSKI, a wszystko razem bez składu i ładu.

Wprawdzie istnieje Liga Popierania Turystyki. Jednak jako instytucja zależna całkowicie od Ministerstwa Komunikacji, ogranicza się jedynie do organizowania pociągów popularnych i tanich przejazdów do uzdrowisk w czasie tak zw. martwego sezonu.

Niewątpliwie ułatwienia bileto we Ligi Popierania Turystyki i tak zwane przedłużenie sezonu w uzdrowiskach mają bardzo duże znaczenie i nie można tu odmówić L. P. T. zasług, ale to wszystko nie wyczerpuje jeszcze zagadnienia całokształtu turystyki.

Tym bardziej, że i nad tym fatalnie ciąży polityka ministerstwa komunikacji. Przecież ta sama Liga Popierania Turystyki mogłaby organizować tanie wy-

cieczki na Polesie, połączone z przejażdżką po Pinie, dalej wycieczki w tak piękne, a niemal zupełnie nieznane Bieszczady. Dlaczego wszystkie pociągi popularne wożą żydowskich geszefciarzy do Wilna lub i zpowrotem, zamiast wieść turystów dalej nad Narocz czy nad Dryświaty lub do Brasławia. Przy pewnej propagandzie i dobrej organizacji, amatorzy napewno by się znaleźli.

A kto z Warszawiaków zna Gopło, czy piękne jeziora Slesienieckie? Kto zwiadał puszcze Notecką piękniejszą bodaj od Białowieskiej? Są to dla nas wszystkich ziemie nieznane.

Co wreszcie się robi, żeby masy młodzieży szkolnej czy akademickiej obecnie tak zawzięcie flirtującej na przystani Kuratorium lub AZS, a co najwyżej wyruszającej kajakiem, lub hamburgerką w górę Wisły — zachęcić do wycieczki po całym kraju, pokazać jej, że Polska to naprawdę „wielka i piękna rzecz“.

Narzekanie na złe drogi, czekanie na to, że każdy będzie miał własne auto — jest marzeniem ściepłej głowy.

Należałoby zatem zmienić istniejący stan rzeczy. Wszystkie sprawy turystyki muszą zostać wyodrębnione i skupione w rękach jednej instytucji. Może nią być nawet Liga Popierania Turystyki jako posiadająca rozległy i prawny aparat propagandowy po odpowiednim przekształceniu, z większym uwzględnieniem niż do tychczas czynnika społecznego, a mniejszym Ministerstwa Komunikacji z jego genialnymi projektami różnych linowych kolejek. Tak organizacja posiadająca odpowiedni aparat propagandowy i od powiednie uprawnienia, niewątpliwie przyczyniłaby się znakomicie do wzmożenia prawie nieistniejącej u nas turystyki wewnętrznej.

Zbliża się obecnie wiosna i lato, najlepsza pora do turystyki. Zerwijmy więc ze starymi błędami, niech turystyka ogarnie masę, niech nasze drogi i rzeki wypełnią się tysiącami młodzieży, czy dorosłych, spędzających w ten sposób swój urlop, poznających Polskę i zdobywających siły do pracy dnia powszedniego.

ARMIN O. HUBER

61)

LUDZIE I ŻYWOŁY

Powieść współczesna z Dzikiego Zachodu

Old Bill w walce z Kościeszą dostaje ataku serca i umiera. Loni, przygłębiona śmiercią jedynego opiekuna wini za nią Chińczyków, którzy podburzali go do bezsensownej walki z Kościeszą. Sama postanawia wyjechać na Alaskę.

Podniosła głowę. Zdawało się, że w jej oczach przesunął się cień uśmiechu.

— A czerwony i zielony? — zapytała.

Popatrzył poważnie na dziewczynę.

— Tak — odpark. — Te dwa kolory pogodzą się, jeśli pani nie wyjedzie na Alaskę.

— Zastanówię się jeszcze — odpowiedziała spokojnie. — A teraz niech pan już idzie, panie Janie.

— Nie będzie się pani obawiała, panno Loni? — zapytał troskliwie.

— Nie. Umarli nikomu nie robią krzywdy. Ale niech pan przyrzeknie, że przyjdzie. Jeszcze dziś, dobrze?

— Przyjść.

Uściskał jej dłoń i wyszedł. Wziął karabin, który pozostawił pod ścianą, i w głębokiej zadumie powędrował do obozu robotniczego.

— Co za pomysł?! Alaskę... — mruzczał. — Zresztą, jeśli będzie przy tym obstawała, to z nią pojedę...

XIV.

Pochowali Old Billa.

Wang Lee kucharzował nadal, lecz Kościeszę zmuszał go zawsze do kosztowania wszystkich potraw przed wydaniem na stół. W ogóle więcej niż kiedykolwiek pilnował Chińczyka.

Jednak sprzedaż i przemysł alkoholu nie ustawały — mimo wysiłków Kościeszę nie mógł na tym przyłapać Wang Lee.

Przeważająca większość robotników obchodziła się w obozie bez wódki, jeździli raz na dwa tygodnie do Prince Rupert, gdzie mogli wypić i zabawić się dowoli. Tylko Huwai upijał się stale w obozie, za co Kościeszę robił mu wymówki, które, nawiasem mówiąc, nie odnosiły żadnego skutku. Pewnego dnia upił się do stanu zupełnej nieprzytomności i zranił nożem jednego z kolegów.

Budowa szła gładko i sprawnie. Wskutek urlopów rozyrkowych miesięczna ilość godzin pracy zmniejszyła się znacznie. Kościeszę wypełnił tę lukę dwudziestu kilku Indianami ze szczepu Tsimsihian, których mu Tahuma zwerbowała w okolicznych osiedlach.

Przy tej sposobności sprowadził Indiankę i oczywiście, bez wiedzy robotników obozowych umieścił ją przy Loni, by dziewczyna miała pomoc w codziennych sprawach domowych i nie czuła się zbyt samotna. Niemal każdego wieczora spędzał u niej wolne godziny.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że z dnia na dzień zacieśniają się więzy, łączące go z dziewczyną. Dziwił się w duchu, że on, inżynier z zamiłowania i w ogóle trzeźwy człowiek, zajął się kobietą tak dalece, że zastanawiał się poważnie nad każdym drobiazgiem, który jej dotyczył i szukał sposobów na pogodzenie ich odrębnych charakterów. Robił tym większe ustępstwa, że widział ze strony dziewczyny duże wysiłki w tym kierunku.

Brzegi na obu końcach tamy zostały umocnione, wyrwa,

przez którą podczas oberwania chmury wypuszczono olbrzymie masy wody, była już zamurowana. Zresztą wszelkie środki zapobiegawcze w tym względzie stawały się zbędne: zapora wyrosła o tyle, że mogła wytrzymać ciśnienie większej ilości wody, niż to przewidywały plany budowy i zasadnicze obliczenia; poza tym wszystkie upusty były już wykończone, a przyrządy, otwierające je i zamykające, działały bez zarzutu.

Budowa elektrowni też zrobiła wielkie postępy.

Jack Bogey dotrzymał obietnicy — przysłał całą kompanię robotników, którzy pracowali nad założeniem nadziemnych przewodów elektrycznych.

Z tej partii jeszcze nikt się nie zjawił na fiordzie, ponieważ zakładanie kabla rozpoczęto od miasta Prince Rupert. Tylko od czasu do czasu przychodził jakiś geometra z kilkomna pomocnikami, którzy robili pomiary i wytyczali dokładnie tak zwaną „linię“. W tym miejscu biegła ona przez lasy, więc geometra określał miejsce, na którym powinien być stać żelazny słup, a pomocnicy oznaczali je kółkami.

Jack Bogey obrał powierzoną linię, której wykonanie było prostsze, szybsze i tańsze, niż zakładanie podziemnego kabla. Dla ochrony słupów przed zniszczeniem wskutek ewentualnego pożaru robotnicy wycinali wokół nich drzewa w promieniu kilkunastu metrów i zaorywali polanki.

Sierpień minął we względnie spokojnym — wydarzył się tylko jeden, lecz bardzo przykry wypadek.

Kościeszę stał przy teodolicie, sprawdzając powierzchnię zapory. Nagle usłyszał niesamowity krzyk, odwrócił głowę i ujrzał Kanaka Huwai, biegnącego ku niemu z nożem. Był tak dalece zaskoczony, że nie pomyślał o obronie i nawet nie zdążył odskoczyć w bok. W następnej chwili już uczył piekącą ból w lewym przedramieniu.

(D. c. n.).